



Gdyby zapytać przeciętnego „Kowalskiego” z czym mu się kojarzy Kalkuta, to założę się, że odpowie, że z Matką Teresą. Sama tak myślę, choć de facto poznałam Kalkutę, tj. zwiedziłam miasto, znam jego architekturę i byłam w miejscach, w których tam warto być.

Kolkata jest ogromna i gęsto zaludniona. To wielomilionowy moloch. Olbrzym, wciągający przybysza w wartki nurt, samochodów, riksów, autobusów i tramwajów. Bo w Kalkucie czy Kolkacie są też tramwaje. Są, istnieją i stały na szynach za pierwszym razem kiedy tu przyjechałam i stały teraz. Podobno kursują, ale według jakiego rozkładu tego nikt nie wie.

Nasza ekipa przyjechała do Kalkaty wieczorem, więc nie było czasu na zwiedzanie a jedynie na szybką kolację, prysznic i sen, bo rano dnia następnego w planach była pobudka przed piątą, by zdążyć na 6:00 na mszę do domu Sióstr Miłosierdzia Matki Teresy. Na miejsce dotarliśmy na czas, a zaraz po nabożeństwie i śniadaniu, Kumar odebrał od siostry Marii małe - wielkości wizytówki - karteczki z informacją w którym z dziewiętnastu domów opieki każdy z nas będzie wolontariuszem. Shanti Dan, Prem Dan, Nabo Jibor... zebraliśmy się w grupki i taksówkami bądź miejskimi autobusami pojechaliliśmy do wskazanych ośrodków.

Miny dziewczyn, które wraz ze mną przydzielono do Shanti Dan, mówiły wszystko - wyraźnie bały się tego wolontariatu, tego co będzie się działo w ośrodku i co zobaczą. Spodziewały się drastycznych obrazów cierpienia, chorób i śmierci, tymczasem znalazły tam radość w oczach podopiecznych ośrodka POMIMO chorób i dysfunkcji. Przydzielone nam zadania były proste. Miałyśmy pomóc w praniu, wspomóc siłą własnych mięśni fizjoterapeutów, porysować bądź pośpiewać z dziewczynami z ośrodka, nakarmić i potrzymać za rękę, kiedy któraś tego potrzebowała.

Pozostali wyprawowicze, którzy trafili do innych Domów Matki Teresy wykonywali podobne prace. Chłopcy i męska część „opieki” dodatkowo golili brody i przystrzygali wąsy mieszkańców ośrodków, w których realizowali wolontariat lub bawili się z nimi piłką, karmili cierpiących na chorobę Parkinsona, przewijali i myli pobrudzonych odchodami. Grupa Kumara zaś w ostatnim dniu wolontariatu dodatkowo namalowała, zaprojektowany poprzedniej nocy przez Kuca, mural, przedstawiający logo naszej wyprawy. Tego samego dnia Siostry Miłosierdzia i wolontariusze z innych krajów przygotowali dla naszej, polskiej grupy wzruszające, śpiewane podziękowania za serce okazane ludziom, którzy takiego wsparcia właśnie potrzebują.

Faktem jest, że nikt z nas nie zapomni tych trzech dni w ośrodkach św. Matki Teresy. Tamtych twarzy, pełnych ufności spojrzeń podopiecznych, ciągle uśmiechniętych i wyciszonych sióstr oraz rozgadanych, wesołych, fachowych w każdym działaniu mashee - opiekunek na stałe pracujących w tych domach.

Wolontariat nie zajmował nam całych dni. W porze lunchu, kiedy mieszkańcy domów Matki Teresy kładli się do łóżek na drzemkę, nasze dyżury się kończyły i po godzinie na szybki prysznic i zjedzenie czegoś, szliśmy w miasto, które pierwszego dnia naszego pobytu w Kalkucie (15.08) przybrało barwy szafranowo - białe - zielone, ponieważ wtedy właśnie wypadło święto narodowe Indii, czyli Independence Day. Indusi wylegli na ulice i świętowali głośno, radośnie, zapraszając także nas do zabawy. Flagi Indii były wszędzie, w wielu



miejscach usypano z kolorowych kwiatów hasła typu I LOVE INDIA, dzieciaki prezentowały przygotowane popisy taneczne... choć trzeba przyznać, że miasto zostało przez te wspólnie fetujące grupy hindusów, muzułmanów, chrześcijan, sikhów i innych, totalnie zakorkowane.

Po Kalkucie trzeba po prostu pochodzić, zobaczyć postkolonialną zabudowę, pałac wicekróla, Victoria Memorial, kościoły chrześcijańskie, które tam są, no i cmentarz, na którym pochowani są Brytyjczycy, mieszkający niegdyś tutaj i zmarli najprawdopodobniej na malarię. Po kakofonii dźwięków ulicznych, przechadzka po tej nekropolii, w ciszy, wśród omszałych nagrobków i wysokich ocieniających alejki drzew, daje chwilę wytchnienia i pozwala zebrać myśli.

Dla równowagi chyba, Kumar z Błażem zorganizowali dla grupy wyjście do kina. Nic nowego? Owszem. W kinie już byliśmy, ale powiem szczerze ten seans w Kalkucie zapamiętam na zawsze. Film, na którym byliśmy nosił wdzięczny tytuł TOALETA. I rzeczywiście to ONA była ośrodkiem filmu i obiektem, o który walkę podejmuje najpierw jedna młoda mężatka a po niej w misję „toaleta w każdym gospodarstwie” włączają się inne Induski. Oczywiście w „dziele” nie zabrakło zbiorowych tańców i piosenek, a batalia o kibel zakończyła się happy endem i szczęśliwym pożyciem pary głównych bohaterów. Śmiać się czy płakać? To pytanie zadawaliśmy sobie wracając do hotelu. Było wypisane na naszych skonsternowanych obliczach. Prawie nie gadaliśmy, bo co tu powiedzieć?

Nasz pobyt w Mieście Radości dobiegł końca. Na pewno pozostawiliśmy tu po sobie niematerialny podarunek - miłość dla bliźnich. Następny cel - Varanasi.